

Posiedzenie Rady Państwa

● Doroczna informacja o działalności Sądu Najwyższego i NSA ● Listy i skargi do Rady Państwa ● Ratyfikacja nowych konwencji i umów

WARSZAWA (PAP) — 24 bm. odbyło się w Belwederze posiedzenie Rady Państwa. Rozpatrzono doroczną informację o działalności Sądu Najwyższego w r. 1982. Stwierdzono, że w minionym roku konstytucyjne zadania Sądu realizowane były w trudnych i złożonych warunkach. Ustawodawstwo stanu wojennego wymagało skupienia wysiłku na prawidłowym funkcjonowaniu prawa w tym okresie. Wchodzące jednocześnie w życie nowe ustawy związane z całym kompleksami zagadnień dotychczas m.in. reformy gospodarczej, świadczeń społecznych, inżynierii gospodarki rolnej i wymagały podjęcia przez Sąd Najwyższy prac służących jednolitej i prawidłowej interpretacji wielu nowych przepisów. Do Sądu Najwyższego wpłynęło w tym okresie 236 pytań prawnych.

Rozwiązaniu złożonych problemów prawnych służyło także orzecznictwo Sądu Najwyższego stanowiące jednocześnie podstawowy środek nadzoru nad orzecznictwem sądowym. W roku 1982 zwiększyła się poważnie liczba spraw rozpatrywanych przez Sąd Najwyższy. Na wokandyte Sądu znalazło się 1.286 spraw z rewizji nadzwyczajnych oraz 5.236 spraw z rewizji i odwołań od orzeczeń sądów I instancji.

Wzrost zadań Sądu Najwyższego nastąpił także w wyniku wprowadzenia zmian we właściwości rzeczowej i miejscowej sądów terenowych oraz poddania nadzorowi sądowemu Sąd Najwyższy spraw rozpoznawanych w trybie doraźnym. Spoczywała na nim tym samym odpowiedzialność za prawidłowe urzeczy-

ciąg dalszy na str. 2



Trwają rozmowy w Genewie

● GENEWA — W piątek w Genewie odbyło się posiedzenie plenarne delegacji ZSRR i USA uczestniczących w radzieko-amerykańskich rokowaniach w sprawie ograniczenia zbrojeń nuklearnych w Europie.

Kancelerz B. Kreisky przyjął ambasadora PRL

● WIEN — Kancelerz Austrii, Bruno Kreisky przyjął ambasadora PRL w Wiedniu Franciszka Adamkiewicza w związku z zakończeniem przez niego misji dyplomatycznej. Ambasador F. Adamkiewicz został również przyjęty przez ministra Spraw Zagranicznych Austrii, Willibalda Pahlę.

Czy dojdzie do wymiany jeńców między Izraelem a OWP

● WIEN — W wywiadzie nadanym przez telewizję austriacką w czwartek wicepremierem Abu Dżihad — jeden z dowódców wojskowych Organizacji Wyzwolenia Palestyny — powiedział, iż informacja, że Izrael — za pośrednictwem Czerwonego Krzyża — zaproponował wymianę 800 więźniów Palestyńczyków za 8 żołnierzy Izraelczyków, którzy we wrześniu 1982 r. dostali się do niewoli palestyńskiej.

Rośnie napięcie w Zimbabwie

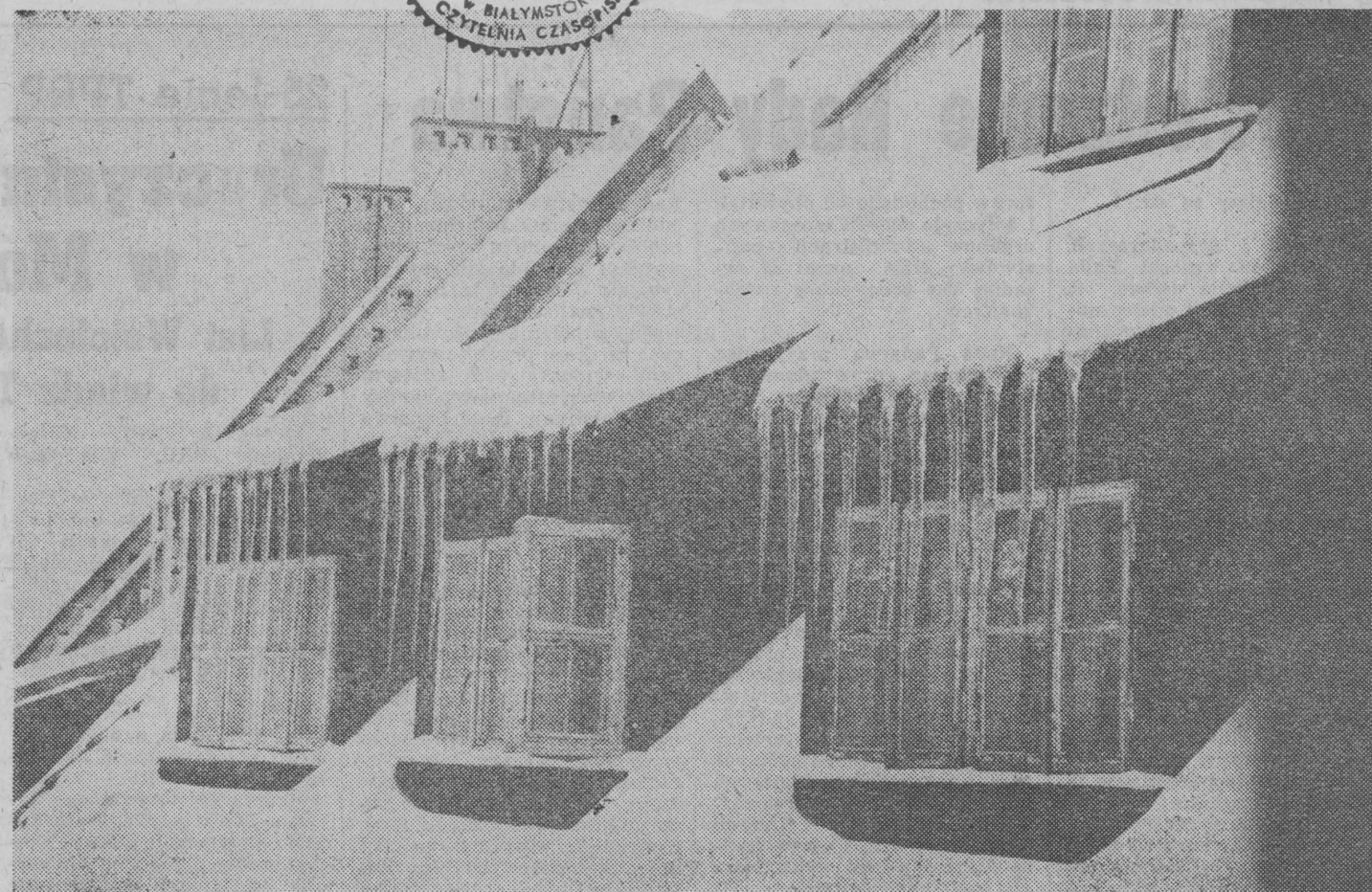
● LONDYN — Najnowszy porozumieniem dramatycznie rosnące napięcie w Zimbabwie jest zamknięcie przez władze śledztwa przyłapano w mieście Gwanda. Policja oświadczyła, że w lokalu znaleźiono skład broni. Kilka osób aresztowano.

Porażka Brytyjskiej Partii Pracy

● LONDYN — Wybory uzupełniające do Izby Gmin w okręgu Bermundsey w południowym Londynie zakończył się zwycięstwem liberała Simona Hughesa reprezentanta socjalistycznej partii liberalnej i socjal-demokratycznej. Jednocześnie w wyborach przyniosła znaczną porażkę Partii Pracy, do której od lat niesprawnie należał mandat poselski z tego okręgu zamieszkałego przez ludność robotniczą.

Nieudana próba z rakieta „Minuteman-3”

● NOWY JORK — Niepowodzeniem zakończyła się próba przeprowadzona przez Pentagon kolonijną próbą z rakietą nuklearną „Minuteman-3”. Jak oświadczył przedstawiciel bazy wojskowej w Kalfornii, odzież dokonała próbną rakietę, wystrzeloną w kierunku Wąsów Marshalla, okazała się niesprawną w związku z tym została na rozkaz z ziemi zniszczona.



W BIAŁYMSTOKU
CZYTAJĄ CZASOPISMA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA

A jednak zima!



Problemy kształtowania modelu spożycia

Posiedzenie Zespołu Rady Gospodarki Żywnościowej

WARSZAWA (PAP) — Problemy kształtowania racjonalnego modelu spożycia w świetle sytuacji żywnościowej naszego kraju omawiano 25 bm. w Warszawie na posiedzeniu Zespołu Rady Gospodarki Żywnościowej. Wnioski z tych obrad przedstawione zostaną na plenarnym posiedzeniu Rady.

Dyskusja potwierdziła ogromną złożoność problemu żywnościowego społeczeństwa, jak też ogromne jego znaczenie dla zdrowia ludności, wydajności pracy, prawidłowego rozwoju młodego pokolenia. Podkreślano potrzebę uporządkowania i ujednolicenia wielu spraw związanych z polityką żywnościową, tak aby podstawowe założenia mogły być konsekwentnie realizowane przez wszystkie ogniwa.

Najogólniej mówiąc chodzi więc o to, by opracować konkretny model spożycia, zgod-

ny ze wskazaniami nauki i żywienia, i zaleceniami lekarzy, który równocześnie byłby dostosowany w rozsądnych granicach do obecnych możliwości rolnictwa i całej naszej gospodarki. Oczywiście musi to być — jak podkreślano — model zgodny z zasadami zdrowej diety. Wymaga to m.in. przelanizowania i ujednolicenia norm, wzorców i pogądów, których różnorodność prowadzi często do niepotrzebnych nieporozumień, dyskusji i błędnych przedsięwzięć. Niezbędne jest także — co szczególnie zaakcentowano — usprawnienie organizacji i zarządzania gospodarką żywnościową.

W kwestii żywności i struktury spożycia narosło bowiem wiele nieporozumień, co utrudnia oddziaływanie na kształtowanie racjonalnych sposobów odżywiania się naszego społeczeństwa. Z drugiej strony należy w polityce

wyżywieniowej uwzględnić różnicowane możliwości i potrzeby poszczególnych grup społeczno-ekonomicznych ludności gdyż samo uogólnienie problemu może prowadzić do błędnych ocen i wniosków.

Prof. Henryk Rafalski, który przedstawił obszerną opracowanie nt. produkcji żywności i żywienia sformułował tezę, że w obecnej sytuacji mamy możliwość ukształtowania zdrowego modelu spożycia pod warunkiem konsekwentnej realizacji racjonalnej polityki żywnościowej, większego zaangażowania się przemysłu oraz dokonania określonych zmian struktury produkcji rolnej. W rolnictwie chodzi m.in. o to, by nie tylko zwiększać masę produkowanych surowców, ale poprawiać ich jakość i kierować się zawartością składników pokarmowych.

S. Olszowski złoży wizytę w ZSRR

WARSZAWA (PAP) — Członek Biura Politycznego KC PZPR, minister Spraw Zagranicznych PRL Stefan Olszowski złoży na początku marca 1983 roku wizytę w Związku Radzieckim.

Delegacja radzieckich pionierów przebywała na Białostocczyźnie

Inf. wł. Na zaproszenie Głównej Kwatery ZHP przebywając w Polsce delegacja Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej im. Lenina. Na jej czele stoi i zastępczyni przewodniczącego organizacji — Olga Sawwatiejewa, w skład wchodzi ponadto: instruktor Wydziału Młodzieży Szkolnej Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowego Lenińskiego Komunistycznego Związku Młodzieży — Aleksander Kalinin, instruktor Wydziału Zagranicznego KC WLKZM — Andriej Łapiew, sekretarz Tatarskiego Obwodowego Komitetu WLKZM — Walentyna Bierzewa i dyrektor średniej szkoły technicznej w Moskwie — Gienadij Jakowlew.

W czwartek delegacja gościła w Białowieży, gdzie spotkała się z uczestniczącymi w ogólnopolskim seminarium komendantami Chorągwi ZHP i władzami gminy. Olga Sawwatiejewa poinformowała zebranych o 60-letniej działalności organizacji pionierskiej, jej celach i zadaniach w wychowaniu najmłodszych obywateli Kraju Rad. Z częścią artystyczną podczas spotkania wystąpił harcerski zespół „P-dlaskie kukulki” z Bielska Podlaskiego. Wieczorem odbył się kulig po Puszczy Białowiejskiej.

W piątek delegacja radzieckich pionierów bawiła w Białymstoku. Odbyła ona spotkanie z sekretarzem KW PZPR — Tadeuszem Doroszką, wiceministrem Kuratorium Oświaty i Wychowania, przedstawicielami organizacji młodzieżowych województwa oraz aktywnymi starszoharcerskim w Technikum Wodnych Melioracji. Zwiedzono także Muzeum Wojska. (a)

Zapowiedź wiosny?

WARSZAWA (PAP) — Przełom lutego i marca przyniesie już bardziej wiosenną pogodę, Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej przewiduje w okresie od 26 lutego do 2 marca wzrost temperatury. Spodziewane jest zachmurzenie umiarkowane, okresami duże opady — początkowo śniegu z deszczem, a potem deszczu. Nastąpi wzrost temperatur maksymalnych od plus 1 st., — plus 6 st., do plus 5 st., — plus 10 st., a minimalnych od minus 7 st., — minus 12 st. do minus 3 st., — plus 2 st.

pogoda

PROGNOZY DLA WOJEWÓDZTWA: białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego

DZIŚ — zachmurzenie małe, wzniesienie do dużego. Temperatura maksymalna +1+3 st., minimalna — 1 st. C. Wiatr: słaby, do umiarkowanego, południowo-wschodni.

JUTRO — okresami opady mrogu śniegu. Wzrost temperatury.

DZIŚ imieniny Miroslawa i Aleksandra, JUTRO Albina i Antoniny. (60c)

PROBLEMY I DYSKUSJE

Dolegliwość ostatniego kryzysu zrodziła niemal u każdego Polaka swoistą gotowość do słuchania i dyskusowania nad propozycjami wyjścia z kryzysu. Jeszcze nie tak dawno słyszeliśmy głosy, że oto niebawem pokaze się dno naszego upadku. Pesymiści dodawali jednak, że trzeba mocno wzrok wyteńczyć, aby dno to móc dojrzeć. Nie dlatego, że jest ono jeszcze gdzieś daleko, ale z tego powodu, iż okrywają je opary mitów, przesądów i przez całe lata gromadzonej niewiedzy.

Szczeście z automatu

I wtedy, nagłym blaskiem oślepiony, Czytelnik wali głową w mur. Niezbyt zresztą mocno, akurat tyle, aby uswiadomić sobie, iż pozostawo no go owym tężyzmkiem pieczywem.

Książkę swoją podzielił A. Bocheński na cztery części. Pierwszą poświęcił na omówienie współczesnych, politycznych aspektów polskiego kryzysu. Część druga dotyczy wychowania narodowego. Na te rozległe patory autor zasądził błędy w procesie kształtowania młodych pokoleń. Część trzecia to apel do nauczycieli, aby wychowywali młodzież „rozsadni i dyscyplinie, a nie jak dotąd „w szalenstwie i warcholstwie”. Część czwarta to prosto: „Parę luźnych rozmyślań o swobodnej krytyce”. W to, że są one „luźne” w całej pełni autorowi wierze, chociaż wolałbym, by były intelektualnie bardziej zdyscyplinowane i bardziej logiczne. Wreszcie następuje część czwarta: „Kryzys ludzkości, albo porządkująca wizja przyszłego świata”.

Dopiero teraz przyzna się autor, że nasze obecne trudności zamierza uleczyć aplikując kurację, którą wymyślił już dawno, a do publicznej wiadomości podał ją w latach 1973 i 1974 w „Kierunkach”, a potem w roku 1979 w broszurze „Pseudosapiens, albo sens i bezsens ludzkiej pracy”. Jak się okazuje, jego pomysł już wówczas wywołał sporo zastrzeżeń rozmaitego rodzaju. Z krytykami było autorowi trudno wtedy dyskutować. Co innego teraz! Autor zdobył zupełnie nowy argument. Mamy przecież swój własny kryzys. I staje się tak, jakby te nasze wszystkie trudności i codzienne trudności znalazły swój ukryty sens. Łaskawy los sprawił bowiem, że mogą one stać się argumentem na rzecz słuszności wizji A. Bocheńskiego. Ten zaś nawet nie próbuje zrozumieć, że każdy kryzys, rzeczywisty i namacalny musi różnić się od każdej wizji, nawet jeżeli miałaby to być wizja „świata szczęśliwego”. Różnica bierze się zaś nie stąd, że kryzys jest brzydki lub zgoła straszny, zaś wizja jest świetlana i piękna. Każdy kryzys i ka-

zkiego mamy się odrywać, o czym mamy zapomnieć? A może autorowi idzie po prostu o to, abyśmy oderwali wzrok od rzeczywistości i zatopili się w kontemplacji owej wizji, którą chce nas uszczęśliwić?

Należy jeszcze „oderwać się” po raz drugi. Tym razem od realiów naszej rzeczywistości. Oznacza to ni mniej ni więcej jak konieczność zapomnienia o naszej sytuacji ekonomicznej, o kłopotach gospodarczych, trudnościach technicznych i wszystkich takich tam drobiazgach. Wówczas będziemy dopiero przygotowani na to, aby z właściwym zrozumieniem przyjąć sformułowaną przez A. Bocheńskiego hipotezę „mutacji technologicznej”. Pod tą dziwną nazwą kryje się zaś treść prosta i sympatyczna. Otóż nasz autor uważa, że szczęście przyniesie ludzkości era automatyzacji, która wyzwoli człowieka od pracy. Zamiast martwić się realiami naszej rzeczywistości, oddajmy się lepiej marzeniom o owej wizji, którą dla nas wyznaczowano. A pomarzyć warto. Razem z erą automatyzacji zapanuje bowiem dostatek i obfitość dóbr wszelakich, a każdy z nas będzie mógł odpoczywać, kontemplować lub piawić się w le-

W tym wszystkim, co na temat kryzysu już powiedziano, jedno jest niewątpliwie słuszne. Wyjście z kryzysu bez programu, bez określonej wizji przyszłości jest rzeczą trudną, a może nawet i niebezpieczną. Byłoby to tylko odbicie się od dna, na które zgodnie z prawami fizyki, czy ekonomii i

ciąg dalszy na str. 3

Szczeście z automatu

ciąg dalszy ze str. 1

Uroki swojej wizji ukazuje nam autor na przykładzie życia dawnej arystokracji. Żyła bez pracy, uprawiając na co dzień siódki różnolotne. Czy ktoś może wątpić, że była szczęśliwa? Oczywiście nie, a jak tym wszystkim arystokratom było dobrze przekonamy się, gdy wizja A. Bocheńskiego już się urzeczywistni. Kłopot w tym tylko, że autor nie podaje żadnych konkretnych sposobów do urzeczywistnienia jego wizji prowadzących. Na razie powinniśmy delektować się samym marzeniem o niej.

Kto wie, może recepta A. Bocheńskiego znajdzie zwolenników. Takich sposobów próbowano już w przeszłości i niekiedy okazywały się nawet skuteczne. Zresztą działa się to nie tak dawno. Tyle, że gdy wychodziło sztydo z worka, nie było nikogo, kto chciałby zbierać owoce. A poza wszystkim, to ten nasz kryzys „dzieje się” tu i teraz, jest bardzo konkretny, namacalny, no i trzeba coś z nim zrobić. Jesteśmy bowiem nie tylko jego świadkami, ale i ofiarami. Nie można więc zająć się tylko najwspanialszą wizją „świata szczęśliwego”. Nie można go zażegnany wykładzonymi formułkami ewokującymi z historii naszą lekkożytność, nasze winy i narodowe tragedie. Ten kryzys posiada swoje własne oblicze, ale A. Bocheński stara się jego rysy i chropowatość zasympać lawiną słów o kryzysie światowym.

Czytana bez głębszej refleksji, książka A. Bocheńskiego zdaje się posiadać wyraźne zalety: (1) zawiera ostry rozrachunek z przeszłością, zwłaszcza z historią, (2) nie jątrzy obecnymi faktami, wzbudza optymizm i nadzieję na przyszłość. Są to niestety tylko pozory. Wystarczy przecie zauważyć, że to wszystko, co dotyczy wizji „świata szczęśliwego” jest zwykłą bajką, fikcją bez pokrycia. Konieczność dojścia do owej ery automatyzacji i powszechnej szczęśliwości i to nie skądkolwiek, ale od naszej obecnej sytuacji gospodarczej, pomija A. Bocheński milczeniem. W jego myśleniu pojawiają się też błędy, które całosc wywodów stawiają pod znakiem zapytania. Oto kilka z nich.

W podrozdziale zatytułowanym „Psychoanaliza polskiego młodzieży '82” (w sumie niespełna dwie strony), czytamy takie oto zdanie: „Zdrowy odruch buntu 1980 roku zburzył dawne rusztowanie: zakłamanie, samowole, zaniedbanie potrzeb i postulatów mas pracujących”. Ujawnia się w nim nader powierzchowne i uproszczone widzenie przyczyn kryzysu. Zbyt dużą wagę przywiązuje A. Bocheński do przyczyn natury psychologicznej, za mało do przyczyn natury społeczno-ekonomicznej. Zależy się tymi ostatnimi bylewiej za o tyle ważne, gdyż ukrywają je te, które

łatwiej zauważyć, ale częściej wtórne. Bez usunięcia przyczyn zasadniczych, podstawowych, wyjście z kryzysu może okazać się trudne.

A oto jeden z aspektów tego problemu. Wiadomo, że zaciągane w innych krajach w latach 70-tych pożyczki powodowały ekonomicznie nieuzasadniony wzrost konsumpcji. Był to błąd. Konsumpcja ta nie miała pokrycia w aktualnej produkcji. Był to zatem ewidentny błąd ekonomiczny. Ale i przyczyna dalszych pomyłek. Karol Marks był zdania, że konsumpcja leży poza płaszczyzną ekonomiczną, ale odnosił to tylko do samego aktu konsumpcji. Dawał przy tym, że konsumpcja reprodukuje potrzeby, które są zyskiem z punktu widzenia produkcji. Marks nie twierdził zatem, że konsumpcja potrzeb zaspokaja (uspia, eliminuje) ale, że je odnawia, wytwarza nowe. U nas zaś chciano Marksą przechytrzyć i wymyślono zasadę odwrotną: za pomocą konsumpcji chciano stworzyć produkcję. Nawet nie producenta, ale od razu produkcję. W efekcie jednak, jeszcze zanim zaistniała produkcja (nawet nie jako efekt, ale tylko sama czynność) stworzono już masy konsumentów. Tym samym efekt produkcji był konsumowany przedtem, zanim produkcja się zaczęła.

Jest to smutne i dziwne zarazem, ale tak właśnie poucza ekonomia, której nie interesują zdroworozsądkowe pozory zjawisk, lecz rzeczywiste zależności między nimi. O tego rodzaju zależnościach A. Bocheński w ogóle nie wspomina, a tym samym jego diagnoza staje się mało trafna. Wbrew temu, co powiada ten autor, należałoby uświadomić sobie fakt, iż na skutek społeczno-gospodarczych decyzji ekipy sprawującej władzę w latach 1970-1980, zaistniała w pewnym momencie taka sytuacja, iż zaspokojenie lekkiomyślnie i sztucznie wytworzonych potrzeb okazało się niemożliwe.

Wiedza o tej całej pomyłce potrzebna jest nie tylko tym, którzy piszą, czy tym, którzy sprawują władzę. Ta gorzka świadomość konieczna jest dla tych, którzy pracują ciężko i za kieszonkę pieniądza. Trzeba wreszcie zdać sobie sprawę i powiedzieć to ludziom, że nasze potrzeby, nasze oczekiwania sprzed kilku zaledwie lat, a może i te, które do dziś przetrwały są wygórowane, niewspółmierne do możliwości naszego kraju. Jest to prawda przykra. Nie pozwala oczekiwać, że dziś jutro nastąpi cudowna zmiana na lepsze, gdyż p. Bocheński lub inny cudotwórca rozstawi na rogach ulic automaty, z których szczęście dla wszystkich dostępne i jednakoowo popłynę struga obfitą i nie kończąca się.

Ta przykra prawda zda mi się też być sposobem na uchronienie nas przed widmem rozpaczy, które ukrywa się za pogodnym uśmiechem wizji oferowanej przez

A. Bocheńskiego. Jego ukrywanie, ale rzeczywisty pesymizm ma dwa źródła, działające zresztą na zasadzie naczyń połączonych. Aczkolwiek p. Bocheński chętnie sięga po cytaty z Marksa i Engelsa, to przecież w gruncie rzeczy zajmuje stanowisko z ich poglądami wyraźnie sprzeczne (ciekawo, czy sam zdaje sobie z tego sprawę?). Otóż p. Bocheński tłumaczy nasz sztydo zło, wokół nas się dzieje wrodzonymi, biologicznymi skłonnościami natury ludzkiej. Ta z kolei jest w jego ujęciu strukturą raz daną i niezmienną. W związku z czym z ironią i sarkazmem odrzuca on poglądy tych, którzy myślą o rozwoju człowieka. Po co rozwijać się, kiedy do szczęścia potrzebne są tylko automaty — powiada nasz autor — człowiek powinien pozostać na swoim miejscu, niech będzie tym czym jest. Jakoby na zasadzie przoryczy przychodził teraz na myśl to, co Marks i Engels napisali w I tomie „Ideologii niemieckiej”: „Komunizm jest dla nas stanem, który należy wprowadzić, nie ideą, którą myśleć, nie ideą, którą realizować. My nazywamy komunizmem rzeczywistość, której ruch, który znosi stan obecny”.

Proponowanym przez A. Bocheńskiego na miejsce rozwoju ideałem jest zadowolenie każdej jednostki. I to jest drugie źródło jego pesymizmu, wbrew wszelkiemu pozorom. Zadowolenie spowodowane do biernego konsumowania świata to przecież nie innego jak bezruch i stagnacja, czyli powolny regres, cofanie się — agonia i śmierć. Pomijam już tu zupełnie taki drobiazg jak kwestie „dystrybucji” owego zadowolenia. Czy miałyby ono być dozowane automatycznie? A kto miałby te wszystkie automaty produkować, konserwować itd.? Może te kwestie należałoby rozwiązać za pomocą kolejnych pożyczek oraz importu?

Takimi drobiazgam A. Bocheński zupełnie nie przejmując. Za to w kwestii naprawy świata ma zdanie wyrobione, ale rozeznanie chyba jeszcze zbyt słabe. Wstrzymajmy się zatem z realizacją wizji „świata szczęśliwego”, spróbujmy udoskonalić i stworzyć nasz świat własny. Potrzebny nam będzie jakiś plan, ale niech on będzie wolny od formulek, jakimi rządzi nas A. Bocheński, o chciwemu jak ta: „Zarysuję się tu zygawota droga, jaką ludzkość dąży do coraz większego doskonalenia swych narzędzi produkcji, determinant rozwoju, których ustalenie stało się zadaniem Marksa i Engelsa”. Czytając takie zdanie pragnę by nasz autor zostawił tych klasików w spokoju. Niechaj drogę sobie dołowną drogą, byle nas nie namawiał do wychodzenia z kryzysu zygawkami.

Doc. dr hab. WŁODZISŁAW SANOCKI Zakład Psychologii Filii UW

nałbądźciej prejęci sprawa porozumienia narodowego?

— Kiedy pisałem ten artykuł, przemawiał przede mną pewne zniecierpliwienie, że mówi się o porozumieniu narodowym — wtedy jeszcze dość ogólnymi hasłami — a że mało się robi. Ale wydaje mi się, że na pewno są w PRON — w Tymczasowej Radzie i Krajowej, i wojewódzkich — ludzie bardzo wartościowi. Czy zawsze są wszyscy najlepsi — nie wiem. Ale to też nie jest konieczne. Chodzi o to, żeby większość była taka. Czego się obawiam, i co chciałbym bardzo mocno podkreślić, żeby nie nastąpiło z PRON coś podobnego jak z Frontem Jedności Narodu. Zeby to było jednak forum autentycznej dyskusji, autentycznej wymiany zdań. To jest podstawowa sprawa.

— Z czego może to wynikać, jeżeli ci ludzie posiadają ogromny potencjał intelektualny nie chcą, czy nie mogą zrozumieć prawdy o czyście?

— To nie jest trudne do zrozumienia. Intelktualiści, artyści, naukowcy są ludźmi, którzy w swoim zawodzie mogą być i są bardzo do brzy. Ale z tego nie wynika, że muszą być dobrzy we wszystkich innych dziedzinach i że na wszystko mają gotowe formy. Można wskazać wiele przykładów, gdzie ludzie doskonale w swoim zawodzie, wybitni uczeni, intelektualiści, pisarze — kiedy zabierali się do polityki, popełniali i popełniają ogromne głupstwa. Ale największą przeszkodą jest często fakt, że u ludzi tego typu powstaje taki mechanizm: wydaje im się, że „skoro jestem mądry, podziwiany, to nie tylko mam prawo wypowiadać się na wszystkie tematy, ale co ja mówię, to jest to najładniejsze i najlepsze”. I to właśnie nazywamy brakiem kultury politycznej. Bo polityka polega na wspólnym poszukiwaniu najlepszych rozwiązań dla wszystkich. I tutaj nikt monopolu na prawdę, na jedynie słuszne rozwiązanie nie ma. Tutaj trzeba czepać z doświadczenia i trzeba sobie zdawać sprawę, że intelektualiści, czystymi ma w sprawach politycznych mniejsze wyczucie i mniej do powiedzenia niż robotnik, chłop czy przedstawiciel jakiegokolwiek innego środowiska.

— A więc na drodze porozumienia jest jeszcze niemało przeszkód do usunięcia.

— Na pewno. Jednym z przejawów braku kultury politycznej jest to, że się wyobraża, że można kryzys taki czy inny, poprzez zmianę człowieka czy koncepcji natchmianistycznie rozwiązać. To jest ogromne złudzenie. I w tej sytuacji, w której ja jestem, gdyby nawet komputerami wyłuskać najlepszych ludzi w Polsce do Sejmu, i do rządu, to potrawa to długie lata, zanim stanę się w pełni normalnym, ustabilizowanym społeczeństwem. Kto oczekuje jakichś szybkich rozwiązań, to prosto się ludzi, a nie ma niczego gorszego w polityce, jak właśnie uwierzyć w złudzenia.

— Ale wierzy pan profesor w to normalne, ustabilizowane społeczeństwo?

— Absolutnie tak. Jestem optymistą, ale optymistą bez złudzeń, i nie oczekuję tego za rok, za dwa. Oczekuję, rzecz jasna, stałej poprawy w życiu gospodarczym i społeczno-politycznym, natomiast nie oczekuję, że stanie się to w postaci skoku jakościowego z dnia na dzień. Ale wierzę, że to będzie, gdybyśmy nie wierzyli, to bym nie robił tego, co robię. Mam nadzieję, że to, co mówię i piszę też jest jakimś małym wkładem, jakąś kropelką do poprawy naszej sytuacji.

— Dziękuję za rozmowę. Rozmawiała: KRYSZYNA KONECKA

— Panie profesorze. Zaczęło od takiej uwagi. Przejrzałam Encyklopedię Powszechną, Słownik Wiedzy Obywatelskiej, nawet Encyklopedię Wiedzy o Pracy i nie znalazłam tam nawet śladu hasła: kultura polityczna.

— Przynajmniej, że przystępując do pisanie eseju o kulturze politycznej, nie szukałem definicji tego pojęcia w słownikach i encyklopediach. To, co pisałem wynika z praktyki i doświadczenia zarówno polskiego jak i międzynarodowego. Sądzę, że właśnie w dzisiejszych czasach, w Polsce, przy wysiłkach tworzenia autentycznego porozumienia narodowego, wykazanie przez całe społeczeństwo, a więc i przez rządzących i rządzonych, przez wszystkie środowiska wysokiego stopnia kultury politycznej jest jednym z podstawowych warunków osiągnięcia porozumienia.

— Czy to nie jest zatem błąd, że przez całe dziesięciolecie praktycznie nie w świadomości społecznej nie funkcjonowało coś takiego, jak potrzeba kultury politycznej?

— Popelnialiśmy wiele błędów w różnych dziedzinach. Pewne formy rządzenia, formy pracy partyjnej, propagandowej nie zawsze sprzyjały rozwijaniu kultury politycznej. W pierwszym okresie Polski Ludowej trudno się dziwić, dlatego, że podstawowymi zadaniami była sprawa umocnienia władzy państwowej, odbudowy kraju. Ale myślę, że nawet w tych pierwszych latach powojennych do 1948-50 roku było więcej kultury politycznej aniżeli w latach późniejszych, a może nawet — niż dzisiaj.

— Doświadczenia ostatnich lat wskazują na to, że w naszym społeczeństwie jest niezbędna elementarna edukacja, ponieważ mało kto wie, jak należy funkcjonować w obrębie kultury politycznej.

— Mnie się wydaje tak: przyczyną braku kultury politycznej w społeczeństwie polskim są zrozumięcia. Byłoby błędem, gdybyśmy twierdzili, że istniała kiedyś w Polsce obrzydliwa kultura polityczna i myślny ją w okresie powojennym niszczyli. Tak nie było. Duży upadek kultury politycznej nastąpił w czasach Polski saskiej. W okresie bezskuteczności przed rozbiorem zaczęła się kształtować kultura polityczna na poziomie nie ustępującym Oświeceniu francuskiemu czy brytyjskiemu. Natomiast było to może już trochę za późno i fakt pozbawienia Polski niepodległości przez przeszło sto lat, traktowanie władzy państwowej, traktowanie władzy państwowej jako czegoś obcego, niszczenia przez to władzę okupacyjną wszelkich przejawów kultury, a przede wszystkim — kultury politycznej, spowodowało obrzydliwe spustoszenie. Również okres międzywojenny, który można by określić w uproszczeniu, jako okres pewnej dyktatury, po zamachu stanu w 1926 roku, też nie sprzyjał rozwojowi kultury politycznej. Okres okupacji — znowu to samo, może w jeszcze większym stopniu, aniżeli w okresie roboczym, przyczynił się do niszczenia wszelkiego życia politycznego. A potem, również i sytuacja w okresie powojennym nie zawsze sprzyjała temu rozwojowi.

Myślę, że o kulturze politycznej nie trzeba dużo mówić i zastanawiać się, co to w ogóle jest. Trzeba po prostu nabyć ją przez jej praktykowanie. Myślę, że okres kryzysu, szczególnie druga połowa 1980 i 1981 roku, wykazał, jak przy — powie-

Żyć godnie, bezpiecznie

„GW” rozmawia z prof. dr. hab. MARIANEM DOBROSIELSKIM

wpływają na kształt swego państwa, na kształt życia w różnych dziedzinach.

— Mam bardzo dużą nadzieję, że porozumienie narodowe, Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego będzie przyczyniał się do rozwijania kultury politycznej poprzez konkretne działania.

— W swoim artykule, napisanym pół roku temu stwierdza pan profesor, że „jesteśmy skazani na porozumienie”, apelując na łamach „lutowych, Kontrastów”, aby „działacze społeczno-polityczni zabrali się w sposób konkretny i kulturalny, a twórcy kultury, intelektualiści, całe społeczeństwo w sposób konkretny i polityczny do wypracowania autentycznego porozumienia narodowego. Czas najwyższy, by przejść od ogólników do konkretów...” Od tego czasu PRON ukształtował się do tego stopnia, że na początku maja br. odbędzie się w Warszawie kongres. Jak pan sądzi, czy w tym społecznym ruchu rzeczywiście znaleźli się ludzie

— Profesor Marian Orzechowski nazwał PRON „eksperymentem politycznym”. Jak pan profesor sądzi, czy ten eksperyment się uda?

— W polityce wszystko jest eksperymentowaniem i — oczywiście, zależy to bardzo wiele od kierownictwa partyjnego i rządowego: jak do sprawy PRON podejrzają. Udanie się tego eksperymentu jest uzależnione jednak też od całego społeczeństwa, od tych wszystkich, którzy wybierając swoich przedstawicieli do PRON powinni ich w pewien sposób kontrolować. Brak kultury politycznej na tym polega, że próbuje się zwinąć winę albo na rząd, albo na społeczeństwo. Ja takiego podziału nie uznaję. Rząd, partia są integralną częścią tego społeczeństwa. Trzeba sobie uświadomić, że partia i rząd mają dokładnie te same cele, co całe społeczeństwo, to znaczy, żeby nasz wspólny dom, Polska, był jak najlepiej urządzony, żeby w nim można było żyć dobrze, godnie, bezpiecznie, kulturalnie.

— Co pan profesor osobliwie robi w tym kierunku?

— Wykładam m.in. filozofię. Oczywiście, nie staram się z wykładów zrobić jakiejś „agitki” politycznej, ale — przez pokazywanie studentom rozwoju myśli filozoficznej — kształtowałem ich kulturę ogólną i kulturę polityczną. Staram się pisać do czasopism, spotykam się w różnych środowiskach na odczytach i wszędzie tam, niezależnie od tego, jaki jest konkretny temat, staram się drażyć te sprawy. A podstawowa myśl, którą chcę przekazać, a która nie jest wcale oryginalna (ale, nie żażam się tym, bo przypomniał mi się takie powiedzenie Voltaire’a: „będę tak długo powtarzał, to co myślę,

Mieszkaniove labirynty

„GW” rozmawia z wicewojewodą białostockim LEOPOLDEM RYBAKIEWICZEM

Tematyka publikowanej rozmowy dotyczy, co prawda, woj. białostockiego, ale poruszono w niej problemy aktualne są w całym naszym regionie. Zachęcamy do lektury i ewentualnej dyskusji.

— Na jednej z sesji białostockiej WRN radni zwracali uwagę na spadek budownictwa mieszkaniowego. Dyrektor WZBU — Andrzej Kiełman stwierdził, że „mieszkańców” w kraju cofnęła się do poziomu roku 1964, w województwie — do 1977.

— Czy nie jest to powód do niepokoju? — W roku ubiegłym, po wybudowaniu 3.444 mieszkań, osiągnięliśmy w województwie średni poziom budownictwa minionej pięcioletki. Zarówno pod względem powierzchni mieszkaniowej, jak i standardu lokali znaleźliśmy się na poziomie wyższym niż w roku 1976 i nieco niższym aniżeli w roku 1977. To jest bardzo dokładne porównanie.

— Uchwalony niedawno plan na rok bieżący — przy powierzchni mieszkaniowej nie niższej niż w roku ubieg-

— tym — zakłada wybudowanie mniejszej liczby lokali w budownictwie społecznym. Znaczący to, że kosztem ilości podnieśliśmy standard oddawanych mieszkań. Z pewnością zadowolili się tymi, którzy je otrzymają, ale wystawił na dłuższą cierność oczekujących od lat.

— Jest to nasze smartwienie. Chcielibyśmy budować więcej. Problem tkwi w potrzebach inwestora, którym jest spółdzielczość mieszkaniowa. Na określoną wielkość „M” zarejestrowanych przez spółdzielnię, buduje ona lokale o takim metrażu, jaki uważa za optymalny.

Faktem jest, że wpływ na wielkość mieszkań wywiera również przyjęta technologia. Na przykład mieszkania z „Fadom 2” są większe niż z „Fadom 1”. Mieliśmy już lokale małe, z ciemną kuchnią i — fenolem. Jeżeli projektanci zaproponowali teraz podwyższenie metrażu, stało się to dzięki przyszłościowemu spojrzeniu na ten temat.

Co do ilości budowanych mieszkań uzależnieni jesteśmy od przydziału niektórych materiałów budowlanych. Zgodnie z uchwałą nr 226 Rady Ministrów na bieżący rok otrzymaliśmy ilość zapewniającą wybudowanie 3100 mieszkań. Jeśli dodam, że plan województwa, oprócz mieszkań, so-

bowują nas do oddania w br. trzech szkół i pięciu przedszkoli, i że na inwestycje te (z wyjątkiem jednej szkoły) czerpać będziemy materiały wykończeniowe z tej samej puli, to aby sprostać zadaniom wynikającym z uchwały WRN, musimy działać poza ukłami formalnymi.

— Możę zapewnić, że zrobimy wszystko, by budownictwo wielorodzinne utrzymało na poziomie nie mniejszym niż w ostatnim dziesięcioleciu.

— W jaki sposób uda się to osiągnąć?

— Potrzebne są nam troska i odpowiedzialność inwestorów oraz budowlanych. Jako nowym wprowadzamy budownictwo kwaterekowe. W tym roku przewidujemy oddanie 231 mieszkań; tę formę budownictwa będziemy rozwijać w dalszym ciągu.

— W różnych dyskusjach zarzuca się, że są to mieszkania o dużej powierzchni i wysokim standardzie. Czy wybór jest trafny, zważywszy, że mają być one przeznaczane dla rodzin najniższej sytuowanych? — Wszystkim, których to niepokoi, mogą wyjaśnić, że nikt nie zamieszka w budynku komunalnym bez uprawnienia do odpowiedniego metrażu. Tak się składa,

że rodziny nie najlepiej sytuowane są jednocześnie często rodzinami wielodzietnymi. Standard mieszkań jest natomiast taki sam, jak w budynkach spółdzielczych, nie ma powodu, by go obniżać.

— Najdłuższą kolejką na mieszkania jest w Białymstoku. Padają propozycje, by ze stolicy województwa utworzyć miasto zamknięte. Słyszysz koncepcje preferowania budownictwa w małych miejscowościach, ponieważ bez zaspokojenia tamtejszych potrzeb niewielkie będzie zmniejszenie napływu do mieszkań w Białymstoku. Wyusunane są też postulaty zmierzające do zwiększenia — kosztem innych miast — budownictwa mieszkaniowego w Białymstoku. Każda propozycja ma swoich zwolenników i przeciwników. Czy Urząd posiada własne zamierzenia na ten temat?

— Do tej pory sytuacja mieszkaniowa w mieście wojewódzkim była w porównaniu do innych miast zdecydowanie mniej korzystna. Dla skupionych tu w spółdzielczość mieszkaniowej 75 procent miejskiej ludności całej Białostocczyzny przewidziano 67 proc. budownictwa wielorodzinnego. W bieżącym roku przewidujemy zaś 70 proc. potencjału. Nie jest to uprzy-

wilejowanie, lecz przywrócenie prawidłowych relacji. Ta tendencja musi być utrzymana.

Wyównywanie dysproporcji nie oznacza przekreślenia rozwoju innych miast. W Bielsku, Hajnówce czy Sokółce, gdzie istnieją spółdzielnie mieszkaniowe, zastoju w budownictwie na pewno nie będzie. Natomiast w Supraślu, Drohiczyźnie czy Zabłudowie, w których zakładana spółdzielnia może być nierentowna, budownictwo wielorodzinne z pewnością zostanie okrojone. Tam przewidujemy przede wszystkim budownictwo jednorodzinne. A jeżeli miejscowe instytucje zgłoszą chęć budowy wspólnych lokali mieszkaniowych z posiadanych funduszy, naszym obowiązkiem będzie okazać im pomoc.

— Jak duża jest liczba osób czekających na mieszkania?

— Według danych z ubiegłego roku we wszystkich spółdzielniach mieszkaniowych Białostocczyzny zarejestrowanych było 46 tys. osób pełnoletnich z kompletnym wkładem finansowym. Natomiast zgodnie z szacunkiem kompetentnego wydziału Urzędu Wojewódzkiego, 17 tys. rodzin nie posiada własnego mieszkania. Ta liczba najbardziej realnie wykazuje aktualne potrzeby; uwzględnia bowiem rodziny „przyćpunięte” ka-

tem w różnych układach. Po ich zakwaterowaniu można będzie powiedzieć, że każda rodzina ma własne mieszkanie.

— Dopóki nie narosną nowe potrzeby...

— Jeżeli rocznie oddawane będziemy — jak przewiduje plan — przeszło trzy tysiące mieszkań, to tylko na zaspokojenie tych najpilniejszych potrzeb trzeba czekać pięć lat.

Spółdzielnie nie dokonują pozadanej selekcji osób pozostających w trudnych warunkach mieszkaniowych. O prawie pierwszeństwa decyduje kolejka, w której niejednokrotnie znajdują się i tacy, co nie powinni tam być.

Tendencja musi iść w tym kierunku, by 16stwo mogło pomóc obywatelowi pozostającemu w krytycznych warunkach mieszkaniowych, jak też zapewnić ludziom otrzymanie lokalu w okresie krótszym niż ma to miejsce obecnie. Nie osiągniemy tego dopóty, dopóki kolejka kształtowana będzie żywiołowo. Nie może być tak, żeby człowiek wstępował do spółdzielni pod wpływem strachu, że opóźnienie przestaną zapisywać. Musi być ustalona granica dochodów, przekroczenie której nie daje prawa do mieszkania spółdzielczego. Kto zarabia więcej, tego powinno być stać na

ciąg dalszy na str. 4

Mieszkańciew labirynty

Ciąg dalszy ze str. 3

budowę domu jednorodzinnego. Spółdzielczość ani państwo nie zaspokoją popytu na mieszkania. Sytuacja lokalowa tak długo będzie dramatyczna, jak długo nie dojdzie do uporządkowania tych spraw. Decyzje muszą być jednakowe dla całego kraju.

— Nie wszyscy wiedzą, że od pewnego czasu wojewoda nie ma wpływu na podział mieszkań w spółdzielni.

— Do 1981 roku Urząd Wojewody dysponował pułą 30 proc. mieszkań spółdzielczych, od dwóch lat nie mamy nic. Wojewoda jest koordynatorem poczynając od podziału i wykonawców, posiadając uprawnienie decydujące o poziomie budownictwa, przeznacza tereny pod spółdzielcze budownictwo wielorodzinne, finansuje je z budżetu terenowego, może więc na jego wielkość wpływać jedynie pośrednio. W razie potrzeby zwraca się do prezesa spółdzielni z prośbą o pomoc. Muszę powiedzieć, że nie zawsze to nam wychodzi.

— Czy słuszne jest zatem to, że państwo, które przyjęło na siebie opiekę socjalną nad obywatelami, przekazało jeden z najważniejszych bodaj elementów tej opieki w ręce grupy spółdzielców rządzących się własnymi prawami, chociaż krytyczny osąd ich działalności zbiera władza państwowa?

— Należy na ten temat głośno mówić. Robimy to i prawdopodobnie coś z tego wyniknie. Nie może być tak, żebyśmy w obecnych trudnych warunkach nie mieli żadnej możliwości interwencji w imieniu najbardziej potrzebujących i nie najwięcej zarabiających.

— Licząc się z tym, że nawet do roku 1990 wydolność budownictwa wielorodzinnego nie będzie dostateczną, wszystkim, którzy osiągną określone dochody proponujemy budownictwo jednorodzinne. Nasza koncepcja rozwiązania spraw mieszkaniowych będzie zmierzała do preferowania tego typu budownictwa jako najkrótszej drogi do własnego lokum.

— Z dotychczasowych wypowiedzi przedstawicieli władz wojewódzkich wynika, że nie przychodzi to łatwo. Działki czekają, a chętnych jest niewiele — twierdzą władze. Z zakładów zaś docierają głosy, że inicjatywa budowy domków jednorodzinnych hamowana jest brakiem decyzji w sprawie otrzymania działek inwestycyjnych.

— Wiem, powołuje się pani na wypowiedź z „Biuletynu”. Myślny sprawdziłam, ten zakład nie występował o działki. Prawdopodobnie zabiegał o nie prywatnie pan X. Nie wiadomo u kogo i czy na pewno.

— Jeżeli przy obecnej preferencji budownictwa jednorodzinnego nie zapewnilibyśmy terenu, byłoby to nieuczciwość z naszej strony. Cała nasza wrażliwość w tej sprawie leży w szerokiej ofercie działek budowlanych. W br. będziemy ich mieć w Białymstoku około 1 tys. Od dwóch ostatnich lat, wskutek wzrostu cen mate-

riałów i kosztów budowy domków, co roku budownictwo jednorodzinne spadało o 30 proc. Spadek ten powodowany był także między innymi niezbyt korzystnym systemem kredytowym. Obecne zmiany w oprocentowaniu pożyczek bankowych mają zapobiec temu zjawisku, chociaż obawiam się, że nie w takim stopniu, jaki potrzebny jest do ratowania budownictwa jednorodzinnego.

Dla przykładu powiem, że suma 200 tys. zł za budowę fundamentu pod domek o powierzchni 85 m kw, powierzchni użytkowej i cena 90 tys. zł za trzypokojowe mieszkanie lokatorskie w osiedlu Słoneczny Stok nie prowadzi do wyrównywania drogi do własnego mieszkania.

Jeżeli chcemy, byśmy mieli więcej osób, które decydują się na domek jednorodzinny, ceny budownictwa mieszkaniowego własnościowego i jednorodzinnego powinny być do siebie zbliżone. Państwo nie może wszystkim „dawać” mieszkania, do czego zresztą w minionych latach społeczeństwo przyzwyczało się nie bez winy nas wszystkich.

Naszym zamiarem jest także wprowadzenie budownictwa mieszkaniowego w stanie surowym na zamówienie zakładów pracy, które oferowałyby je do wykonania przez przyszłych właścicieli — swoich pracowników. Muszę powiedzieć, że oferta ta nie wywołała fali zgłoszeń, chociaż istnieje pewne zainteresowanie w „Białej”, „Uchwyta” i „Fastach”.

Zakłady pracy mają również możliwość budowy bloków wielorodzinnych. Dotychczas korzysta z niej jedynie resort komunikacji. Gdyby znaleźli się inni chętni, Urząd Wojewódzki skłoniłby nawet podjąć rolę koordynatora w budowie wspólnego międzyzakładowego bloku. Pożyczki z kas zapomogowych zamiast na mieszkanie spółdzielcze mogą

przecież być przeznaczone na budownictwo zakładowe. Zakłady, które potrzebowałyby cegły, mogłyby poprzez zainteresowanych robotników pozyskać ją z cegielni, delegując tam w wolnym czasie ludzi do jej wyprodukowania.

— Przy takim wyborze propozycji — jak Pan Wojewoda sędzi — skąd ta powściągliwość zakładów?

— Przytoczę pani to, co na podobne pytanie odpowiedział mi jeden z dyrektorów. Otóż raz w życiu, jako szef poprzedniego przedsiębiorstwa, zbudował dla załogi kilkadziesiąt domków jednorodzinnych i miał potem kilkanaście kontroli sprawdzających, czy zrobili to uczciwie i sprawiedliwie.

Zaproponowałem, że tym razem ja mu pomogę. Wybudujemy ze 30 domków i żeby miłkło niczego nie kwestionował, nie przydzielmy żadnemu dyrektorowi ani kierownikowi.

— Co on na to?

— Zgadza się pod warunkiem, że będzie miał w pełni uzbrojony teren. Jeśli to miało wspomóc budownictwo jednorodzinne, musimy to uczynić.

— I to byłoby optymistyczny akcent w tej trudnej sytuacji...

— Nie tylko ten jeden. Jaśniejszym momentem jest również zapowiadany krajowy wzrost produkcji materiałów budowlanych. W tym roku o 1-2 proc., w następnych latach, być może, jeszcze więcej. Jeśli tak będzie, wszystkie liczby, na które się powoływałem, muszą także wzrastać.

— Dziękuję za rozmowę. IRENA BIERNACKA

Operacja



Operacje programowe Oddziału Ortopedyczno-Urazowego Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. J. Śniadeckiego w Białymstoku odbywały się trzy razy w tygodniu: we wtorki, środy i piątki. Tego dnia zaplanowano trzy zabiegi: usunięcie deformacji w stawie kolanowym u pacjentki, która w młodości przeżyła chorobę Heinego-Medina; wykonanie rekonstrukcji stawu biodrowego u młodego człowieka po bardzo ciężkim wypadku drogowym, w którym doznał uszkodzenia czaszki i twarzy, złamania miednicy oraz złamania stawu biodrowego; wymianę górnej nasady kości udowej na sztuczną u chorego, który upadł, doznając złamania szyjki kości udowej prawej.

Operował dr med. KAZIMIERZ MOŁSKI, ordynator Oddziału, asystowali dr Andrzej Szutko, w zespole operacyjnym znajdowała się ponadto anestezjolog dr Aleksandra Petrajtys, pielęgniarki i salowa. Zabiegi we wszystkich nagłych wypadkach wykonuje się podczas ostrych dyżurów, które Oddział Ortopedyczno-Urazowy pełni co drugi dzień, na zmianę z Kliniką Ortopedyczną.

Roczną liczbą operacji, tych planowanych i nagłych, służy 600. W 70 proc. na stół operacyjny trafiają pacjenci z urazami, w tym, przede wszystkim, ofiary wypadków drogowych, ze złamaniami kończynami, kręgosłupem. Pacjenci są niestety, zbyt często w stanie utraty przytomności, a to utrudnia, bądź nawet uniemożliwia natychmiastową interwencję chirurga-ortopedy.

Problemem społecznym u ludzi w średnim, a głównie starszym wieku, stają się zmiany zwyrodnieniowe stawów biodrowych, także kolanowych. Można je leczyć operacyjnie z dobrym skutkiem, pod warunkiem jednakże, iż pacjent zgłosi się odpowiednio wcześniej. To się zdarza rzadko, chory decyduje się na szpital, gdy zmiany są daleko posunięte, nie może się poruszać i bardzo cierpi. Wtedy pozostaje już tylko zastosowanie sztucznego stawu. Jest to zdobycze medycyny ostatnich kilkudziesięciu lat, nie daje jednak pełnej sprawności operowanemu.

Na Oddziale Ortopedyczno-Urazowym, liczącym 34 łóżka, pod kierunkiem ordynatora Mołskiego pracuje etatowo sze-

Po roku w Zacerlanach

„Wąchacze” na leczeniu

Pierwsi dwaj pacjenci przybyli do Zacerlan w połowie lutego. MAREK KOTAŃSKI w chwili szczerości przyznał po jakimś czasie, iż miał spore obawy, czy w takich warunkach należało ruszać z ośrodkiem. Co prawda, miejsce było idealne. Budynek na skraju wsi, z niewielkim kawałkiem ziemi obok, w podwórzu budynek gospodarczy. Dookoła las. Spokój i cisza.

Kłopoty zaczęły się później z tzw. adaptowaniem do potrzeb. Remont, który na pierwszy rzut oka wydawał się raz dwa do przeprowadzenia, ciągnął się kilka miesięcy, a i do dzisiaj jeszcze nie wszystko zostało zakończono. Najgorsze jednak minęło.

Kiedy 18 lutego, dokładnie rok później siedzi w sali „społeczności”, wspomina się o tym z uśmiechem, chociaż z nutką rozczarowania i zdumienia. To tylko rok, a tak wiele zrobiono. Szkoła (dawna tyściółka) od lat stała puszczona. Pomieszczenia były wykorzystywane przez Szpital Psychiatryczny w Choroszycy po części jako magazyny, a latem na tymczasowy pobyt dla chorych. Zimno, obskurnie. Do zamieszkania nadawał się jedynie pokój na strychu. Nie było centralnego ogrzewania, kanalizacji, nawet porządnej studni.

Dziś trudno doprawdy pojąć, gdzie wewnątrz. Duże sale, dawne niedygi uczyły się miejscowe dzieci zostały przeobrażone na przytulne pokoiki. Oddzielnie siołkowa, kuchnia, sala społeczności z kominkiem. No i własne gospodarstwo z inwentarzem.

Marek Kotański zapala świecę. To niejako oficjalne otwarcie Ośrodka Rehabilitacyjnego Młodzieży w Zacerlanach. Krótkie okazjonalne wystąpienia. Odczytywanie telegramów, jakie nadeszły z różnych stron kraju; od pacjentów z innych ośrodków, słowa wdzięczności od matki narkomana. Wzruszające chwile dla wszystkich. Najbardziej zaś przeżywa je grupa 23 osób, którym tutaj stworzona została możliwość powrotu do normalnego życia.

Powstanie tego ośrodka — to żywy symbol możliwości — mówiono podczas otwarcia, a ci którzy w nim przebywają, wskazują innym drogę wyjścia z tej strasznej choroby, potwierdzają szansę, że można się wyleczyć.

Marek Kotański ocenił ośrodek w Zacerlanach jako jeden z najsukceszniej funkcjonujących spośród 10 podobnych placówek w kraju. Jest to za-

sługa wielu osób, których nie sposób wymienić, a którzy włożyli ogrom wysiłku, by w pustych, zimnych pomieszczeniach stworzyć atmosferę domowości, życzliwości i wzajemnego zaufania. Słowa uznania należą się wychowawcom, terapeutom, pracującym nie tylko w ośrodku, lecz wspierającym również swoich doświadczonych działaczy Punktu Konsultacyjnego „MONAR” przy ul. Dąbrowskiego 14 w Białymstoku.

Od sesji „Czy zagraża nam narkomania?” upłynęło ledwie 14 miesięcy. Gdy w pierwszych dniach grudnia 1981 roku została zorganizowana przez ZW TWP nikt się nie spodziewał, iż to, co wówczas mówiono tak szybko przybierze realne kształty. Wkrótce już działają Terenowy Oddział MO-NAR-u w Białymstoku od października czynna jest Poradnia Nadziei, odbyło się wiele spotkań z lekarzami i nauczycielami. Został wreszcie, co najważniejsze zauważony problem narkomanii, która już od dłuższego czasu zbierała, również w naszym regionie, swoje żniwo. Przez długie lata temat był zakazany, oficjalnie nie istniał, podczas gdy z każdym rokiem coraz więcej przybywało ofiar, rosły szereg osób uzależnionych.

Metoda leczenia, którą zapoczątkował Kotański, a polecająca głównie na pracy, nauce, wykonywaniu codziennych obowiązków ma dzisiaj szerokie grono zwolenników. Daje jej gwarancję wyjścia z nałogu. Do tej pory osiągnięto 40 proc. trwałych zaleceń. Przy tak ogromnych spustoszeniach, jakie czynią w organizmie ludzkim narkotyki, przy tak olbrzymim uzależnieniu, w jakie się wpada po pewnym okresie zażywania — wyniki uzyskiwane w Głogowie uważa się za najwyższe w świecie.

Narkomania, jedno ze zjawisk patologii społecznej wciąż stanowi olbrzymie zagrożenie dla młodzieży. Liczbę narkomanów w Polsce szacuje się na

dyskusji w Zacerlanach szczególnie groźnie zabrzmiało jedno ze stwierdzeń. Otóż w Białymstoku, według rozeznania specjalistów z Poradni, nie ma szkoły, gdzie by nie istniała sprawa narkomanii. „Wąchaczy” spotyka się już w początkowych klasach szkół podstawowych. Niedawno zmarł z przedawkowania uczeń jednego z liceów białostockich. Kolejna ofiara narkotyków.

Ośrodki typu Głogów czy Zacerlan to ledwie kropla w morzu potrzeb. Niemożliwe zresztą byłoby objęcie opieką wszystkich chorych, stworzenie im podobnych warunków. Ale jedno co można i co trzeba czynić, to w szerszym niż dotychczas zakresie upowszechnić profilaktykę. Mądre i rzeczowe rozmowy z młodzieżą potrafią wielu z pewnością uchronić. Jednakże musi to być autentyczny ruch leczenia z narkomanii. Prelekcje, pogadanki sztuczne i sztuczne, traktowane jako część statystyki niczego w tym przypadku nie złatwią.

Narkomania jest chorobą niezwykle zaraźliwą. Krąg osób biorących narkotyki rośnie bardzo szybko. Podczas

ALICJA ZIELIŃSKA

Pani i chłopcy?

Z ANONIMU:

„Diabeł wie z kudy, bo na pewno nie z miasta kobieta, a zawzięta na miastowych. Przeczytałam twój list w „Gazecie Współczesnej”, „Chamy i pany” (było „Pany i chłopcy?” — przyp. A. R.). Nie przedrukuję na pewno tego w „Gazecie”, a jak tak, to nie w całości. Prawda jest, że jestem kobietą miastową. Widzę, co się dzieje po sklepach i kupuję też. Mam córkę w Białymstoku, więc jestem tam często. Wyszła ona za rolnika, ale mieszka ją w Białymstoku. Córka moja pracuje i zięć też, ale gdybym ja nie pomagała i jego rodzice, to nie mieliby co włożyć do garnka od 17 każdego miesiąca. Nie w głowie im dywany i złote łańcuszki. Nie jestem przeciw wsi, bo to są takie same ludzie jak i my, ale gdyby się to nie pchało jak pewnie i ty do miasta, to na pewno byśmy wszyscy mieli źle. Lenie śmierzący rzucąją piękną gospodarkę i przychodzi żeby być miastowym. Człowiek ze wsi nie będzie nigdy człowiekiem z miasta, ale trzeba się nam szanować nawzajem i ją szanując.

To jak napisałaś o kobiecie miastowej świadczy o twoim jurnym chamstwie i że jesteś babą, której nie odpowiadać ludzi z miasta ani ze wsi, bo rozpaniłaś się na miastowym chlebie. Bez poważania.

CZYTELNICZKA

Dziękuję za list, będący odpowiedzią na mój artykuł „Pani i chłopcy?” zamieszczony w ostatnim styczniowym numerze „GW”, który, jak zapewnia Pani zauważa, zamieszczamy w całości. Czynimy to wyjątkowo, bowiem na temat osób które obawiają się podpisać pod swoim listem, mamy niezbyt pochlebne zdanie, a na ich korespondencję przeznaczamy specjalny kosz.

Swoją drogą dodam, że zięć może się na Panią obrazić za to publiczne wyzywanie go od śmierzących leni rzucających gospodarkę i zarzucając mu (określając drogą) rozpanianie na miastowym chlebie. Czyżby musiały i Panią uświadamiać, że trudno jest w obecnych czasach „rozpanić” również na miastowym chlebie, o czym zresztą wspominałam na marginesie poprzedniego artykułu. Na temat zaś deklaracji o szacunku najwięcej powie treść Pani listu.

Trafił mi do rąk Pani artykuł zamieszczony w „GW” pt. „Pani i chłopcy?”. Przyznam się szczerze: to dobrze, że miałem tylko fizyczny kontakt z „Gazetą”, a nie pismakiem takich wyopin, bo ktoś by mógł się poczuć trochę poturbowany.

Mam 52 lata, jestem robotnikiem. Życie nie pięknie mojej osoby. Przez długie lata

ciężko i uczciwie harowałem w przemyśle na skąpy kawałek chleba. Trafitem do górnictwa. Górnictwo to zagonek z pietruszką, a tuarada i wyprunująca na wierzch żyły harówka. Porównała pani pracę górnika do pracy wiejskiej kobiety. Aby dokonać takiego porównania trzeba mieć poważne niedobory pod czaszką. Jeśli chodzi o trud pracy ludzi przemyśle ciężkiego, to nie będę się z panią licytował bo podejrzewam, że te zagadnienia są pani obce. Górnictwo, cała gałąź metalurgii i przemysł stoczniowy, ciężka harówka, to są właśnie te „dobrodziejstwa” świata cywilizowanego. Rolnik, czy sianośiar, a hutnik przy „martwie” musi „znosić” non stop 70 stopni Celsjusza. Azbestowe ubrania nie wytrzymują. Proszę postawić w tym miejscu kmiotka i wysłuchać później jego zdanie o odnośności trudu i opłacalności. Proszę wziąć pod uwagę bezpieczeństwo samej pracy. Ilu górników, hutników, marynarzy uraca do domu w sosenowym opakowaniu. Ilu pracowników tych zawodów zostaje kalekami na resztę życia. Tego pani, ani kmiotkowie nie dostrzegacie. Są i na wioskach tragiczne wypadki, lecz wynikają one z niechlujstwa lub pijanstwa na festynach, gdy pójść w ruch sztachety, kolki z plotu lub noże.

Ciągle głośno się mówi, że rolnik ciężko pracuje, że żywi naród. Stawia się go nad poziołymi. Słęgnęła pani nawet po

dane Uniwersytetu Warszawskiego. Zachodzi pytanie skąd uczelnia te dane otrzymała. Podejrzewam, że od chłopów. Ci natomiast potrafią błogowić. Osobiście wielokrotnie przekonałem się o tym. Jak sięgam pamięcią polski chłop zawsze narzekał. Zawsze mu było źle. To biadolenie i pazerność wyszła z mlekiem matki. Takich czasów jak obecnie dla wsi historia nie obotwała, a kmiotkowie ciągle narzekają,

tak, jak chcieli nie rozliczając się przed nikim. Tego pani nie dostrzegła? Pisze pani, że kobieta wiejska musi wcześniej wstawać, bo wszystko co żyje musi naćkać. Moja żona bez gospodarstwa też wstaje wcześniej, bo przed godziną piątą i nie zawsze ma mi co dać jeść. Pani zdaniem to pewnie żadna różnica. Od wielu lat pracuję w Białymstoku, codziennie dojeżdżam do pracy.

Wstaje przed godziną piątą. Nikt nad moją osobą się nie rozszala. Jedynie mój wierny druh, żona, westchnięcie współczująco wyprawyjąc mnie do pogociu. Zarabiam tyle, abym mógł się wyżywić i zregenerować siły do dalszej pracy. Nie pamiętam kiedy byłem w kinie lub w teatrze. Na uczelni nie byłem ani dnia w swoim życiu. Urlop wypoczynkowy wykorzystywałem w Białymstoku, jej zawieszona wypędziła mnie z tego miasta. Przypomina nam stale, że ona wyprodukowała bochenek chleba i w zamian za to żąda szczególnej czolobitości.

Mówiąc dalej słowami pani artykułu, to chłop polski skarzy się na brak widać, guądzi itp. A kto to zawiwi? Proszę się zastanowić, czy to aby nie ich Staśki i Franki, którzy za masło uzyskali naukowe cenzury i poszli w ministery, i rozdali pożyczonym kapitałem

Emocje są

Wstaje przed godziną piątą. Nikt nad moją osobą się nie rozszala. Jedynie mój wierny druh, żona, westchnięcie współczująco wyprawyjąc mnie do pogociu. Zarabiam tyle, abym mógł się wyżywić i zregenerować siły do dalszej pracy. Nie pamiętam kiedy byłem w kinie lub w teatrze. Na uczelni nie byłem ani dnia w swoim życiu. Urlop wypoczynkowy wykorzystywałem w Białymstoku, jej zawieszona wypędziła mnie z tego miasta. Przypomina nam stale, że ona wyprodukowała bochenek chleba i w zamian za to żąda szczególnej czolobitości.

zapalkę dzielił na dwie, a obecnie pije litra na raz. Nie chodzi tu o dyskryminację klasową, lecz o udostręgnięcie takich wartości, na jakie sobie dana warstwa kształciła. Nie dziwię się, że tamtejsi, która poruszała oświecką kobietę na masę towarzyską w kolejkach... Wracając do pracy do domu porządkuję każdego dnia widzę uśmiechnięte i radośnie ludźmi ze wsi, wiozącymi zdobycze z miast. Tu następuje oglądanie ich pionych dobroci, przedmiotów macanie... Putam więc, jak im bieda, skoro stać ich na wykonanie wszystkich

ROMUALD KAPKOWSKI
Nie negując faktu, że konflikt wieś — miasto istnieje, warto chyba zwrócić uwagę na to, jak bezosobnie przybiera rozmiar. B.



leczenie skutków choroby Heinego-Medina. Dr Molski był specjalistą krajowym w tej dziedzinie.

Z jego inicjatywy powstał oddział ortopedii dziecięcej, a także oddziały ortopedyczne w Augustowie, Suwałkach, Łomży i Bielsku Podlaskim. Ordynatorami zostali jego wychowankowie.

Dr Molski jest doskonałym operatorem, zastosował też szereg nowych metod, m.in. w leczeniu złamań kości przedramienia czy nastawianiu zwichniętej kregosłupa szyjnego.

Dr Kazimierz Molski objął dyktando Oddziału Ortopedyczno-Urazowego z chwilą jego powstania, to znaczy, w roku 1959. Dało to początek białostockiej ortopedii jako gałęzi medycyny, zajmującej się zapobieganiem, rozpoznawaniem i leczeniem chorób oraz urazów narządu ruchu.

Jako chirurg zajmuje się przede wszystkim urazami kregosłupa.

ANIELA LABANOW



Fot.: ZDZISŁAW LENKIEWICZ

W pierwszym okresie pracy oddziału na czoło zagadnień terapeutycznych wysunęło się...

szukamy rozsądku

Wieloletni doświadczenia nie są adekwatne. Przetoć więc może bardziej autorytatywne, pochodzące z opracowania Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej pt. „Ocena i zaplanowanie poprawy warunków materialnych ludności wiejskiej”.

Wzręcz dane z własnego, opolskiego województwa informując, że młodzi rolnicy poniżej trzydziestki stanowią zaledwie 5 proc. mieszkańców wsi.

Mimo, że odwiedzanie kin i teatrów pomniągłm w poprzednim artykule, to jednak zo-

stałam spowodowana do posłużenia się statystyką i w tej dziedzinie. Nie licząc indywidualnych przypadków, takich jak pański, mieszkanie miasta...

Zaś proponowanie rolnikowi szlabanka z garścią żywności słony, jest w tej chwili podceinaniem, ogólnie rzecz biorąc, galezi na której siedzimy.

Chciałam jeszcze tylko przypomnieć, że czasy feudalnego klasowego przywiązania chłopca (tylko z racji jego urodzenia) do ziemi już minęły...

Wzręcz dane z własnego, opolskiego województwa informując, że młodzi rolnicy poniżej trzydziestki stanowią zaledwie 5 proc. mieszkańców wsi.

Mimo, że odwiedzanie kin i teatrów pomniągłm w poprzednim artykule, to jednak zo-

stałam spowodowana do posłużenia się statystyką i w tej dziedzinie. Nie licząc indywidualnych przypadków, takich jak pański, mieszkanie miasta...

Zaś proponowanie rolnikowi szlabanka z garścią żywności słony, jest w tej chwili podceinaniem, ogólnie rzecz biorąc, galezi na której siedzimy.

Chciałam jeszcze tylko przypomnieć, że czasy feudalnego klasowego przywiązania chłopca (tylko z racji jego urodzenia) do ziemi już minęły...

Wzręcz dane z własnego, opolskiego województwa informując, że młodzi rolnicy poniżej trzydziestki stanowią zaledwie 5 proc. mieszkańców wsi.

Mimo, że odwiedzanie kin i teatrów pomniągłm w poprzednim artykule, to jednak zo-

stałam spowodowana do posłużenia się statystyką i w tej dziedzinie. Nie licząc indywidualnych przypadków, takich jak pański, mieszkanie miasta...

Zaś proponowanie rolnikowi szlabanka z garścią żywności słony, jest w tej chwili podceinaniem, ogólnie rzecz biorąc, galezi na której siedzimy.

Chciałam jeszcze tylko przypomnieć, że czasy feudalnego klasowego przywiązania chłopca (tylko z racji jego urodzenia) do ziemi już minęły...

— Wszystko się tam marnuje. W tej szkole uczą się szczury — wołał z trybuny jeden z delegatów na Zjeździe WZSR w Suwałkach. Za szybą samochodu tablica z nazwą miejscowości. Lipsk, niezwykła wieś z enklawami wielkomięjskości. W buraczkowym odcieniu okazały budynek szkoły im. Anasztazy Milewskiej, skąd kilka lat temu ówczesny minister Oświaty Jerzy Kuberski otwierał nowy rok nauki.

Dyrektor Zbiorczej Szkoły Gminnej Jan Szuler tylko ogólnie orientuje się w sprawie, o którą pytam.

— Zna ją dobrze dyrektor szkoły w Rygałówce — mówi. Miałem szczęście, Sławomir Rożnowski zjechał właśnie do Lipska. Udało się więc wspólnie odtworzyć całą historię.

Tysiąc szkół na tysiąclecie — to hasło do dzisiaj pamiętają prawie wszyscy. Nowe szkoły powstawały jak grzyby po deszczu. Również we wsi Rakowice otwarto w 1965 r. podobną do „tysiąclatki”. W budowie pomagali mieszkańcy. Budynek był potrzebny dla ponad 100 dzieci — do ośmioklasowej szkoły chodzili one z Rakowicz, Lipszczan i Lichosielc.

SZKOŁA NA UBOCZU Jedna z tysiąca

W ogóle. Wiązało się to zresztą z migracją mieszkańców do miasta. Zbyt mało było nowych uczniów, aby utrzymać tutaj szkołę. Dzieci zaczęły uczęszczać do oddalonej o ok. 3 km — chociaż starej i mniejszej — szkoły w Rygałówce z Lichosielc jest do niej ok. 5 km. Dowozi się je „bryczką”, jak zwą miejscowi ciągnik z obudowaną przyczepką.

Budynek w Rakowiczach jest zabezpieczony. Jego część służy jako poczekalnia dla dojeżdżających dzieci. Mieszka tam również nauczycielka z Rygałówek — podkreśla dyrektor Szuler. — Teoretycznie można by tam zrobić ośmioklasową szkołę, ale klasy musiałyby być łączone ze względu na niewielką liczbę dzieci.

Niestety, tych ostatnich jest mało. Dwa lata temu rodzice z Rakowicz zaczęli domagać się reaktywowania szkoły. Obyło się nawet zebranie na które moi rozmówcy przybyli z wykazem nowo urodzonych dzieci w poszczególnych latach. Okazało się, że w niektórych rocznikach ich liczba była znikoma. Jak wynika z danych Suwalskiego Kuratorium, w Rakowiczach, Lichosielcach i okolicznych koloniach na każdy rocznik od 1971 r. do 1980 r. przypadało średnio 3-5 uczniów (dane z maja 1981 r.).

W 1975 r. jest tylko trzech pierwszoklasistów. Najwięcej dzieci urodziło się w 1977 r. — za dwa lata naukę rozpocznie siedmioro dzieci. Rodzice ze dzili się pomóc przy remoncie budynku. — Szkoła to nie budynek, ale głównie dzieci i nauczyciele — stwierdza J. Szuler. Wykwalifikowanej kadry jednak brakuje. — Stary nauczyciele odchodzą na emeryturę. Młodzi jeśli chcą podjąć pracę, to tylko w Lipsku i pod warunkiem dostania mieszkania. Na wieś nikt iść nie chce.

— Ludzie chcą szkoły. Ja się im nie dziwię, bo małe, sześćdziesięcioletnie dzieci muszą wstawać wcześniej i chodzić kilka kilometrów. Gospodarz wykonałby remont za pół miliona zł. Ale jak zrobi to przedsiębiorstwo, to... — inachnał reka dyrektor z Rygałówek. — Teraz to już ruderą, od pięciu lat nie ogrzewana. Gdyby nie mieszkańcy tam nauczycielka, nie byłoby ani drzwi, ani okien. Może w przyszłości, gdy ludzie wrócą na wieś, będzie sens szkoły reaktywować.

Władze gminy nie bardzo wiedzą, co począć z potrzebny niegdyś przybytkiem. Podobno zamierzano przekazać go na sklep wiejski, ośrodek kultury świetlicy; nikt wszakże nie kwapił się z jego przejęciem. Ostatnio proponowano przekazać budynek na dom opieki społecznej dla ludzi starych i niepełnosprawnych

— W otworach zielonych pulpitów dawno nie tkwiły kalamarze. Następne okno — zakurzone pomoce do nauki fizyki, w rogu stojaki do map. Na drugich drzwiach wisł wielki, pokryty natłosem tęcz kłódka. Nad wejściem także zarządził się dzwonek, którego dźwięk od lat nikogo nie zwoływał na lekcje. Kilka metrów dalej w budynku gospodarczym mieści się klub rolnika.

— Tam gdzie ten klub, to mój czynny budynek wybudowali na sale zajęć praktycznych. Cała szkoła pomagał stawiać — wozilo się kamienie, żwir, robili mi pustaki — wykopcy. Wiedzieliśmy się pracować. Tu ludzie pisali, żeby szkołę znowu otworzyć, przyjeżdżali z Lipska, ale nie wyszło — mówi pan Józef, ojciec rodziny. Siedzę w kuchni u Bryndal. Ojciec z synem przezwali pracę nad jakąś deską, odłożyli na bok siewiere.

— Dzieciom ciężko. Teraz są takie drobne, malutkie, a przez to dowołnie chorują. — Choćby z cztery klasy zrobić — mówi na pożegnanie pani Tatiana. Opuszczamy Rakowice. Obok zamkniętej szkoły zatrzymała się właśnie znana „bonanza”. Z przyczepy wysypują się drobne postacie dzieci zjeżdżając w kierunku domów.

W suwalskim Kuratorium Oświaty i Wychowania starszy wzyrtator Marian Rutkowski stwierdza, że być może, po konsultacji z zainteresowanymi rodzicami od września w Rakowiczach powstanie szkoła. Warunek to zgromadzenie w jednym oddziale przynajmniej 7-8 uczniów. Byłaby wówczas możliwość uczenia dwóch roczników w systemie przemiennym. Reaktywowanie szkoły stoi więc pod wielkim znakiem zapytania. Czy los skażal budynek w Rakowiczach na powolną stoją łapki.

Jak była niedawno wichura, bryczka nie przyjechała i dzieciaki poszły na piechotę — to żona, pani Tatiana. Jej troje dzieci uczyło się w lakowiczowskiej szkole. Bryndowie mówią, że gdyby szkołę reaktywować, chodziliby do niej dzieci z Lichosielc i kolonii, to razem będzie z pięćdziesiąt. Do Rygałówek dojeżdża ze wsi dwuje nauczycieli.

— Na górze w budynku jest miejsce dla trzech nauczycieli — stwierdza pani Tatiana. — Dwa nauczyciele wystarczą, zrobić łączone klasy i byłoby dobrze. Jak szkoła jest w Bohaterach, to i może być u nas — podkreśla syn Henryk. Do czteroklasowej szkoły we wspomnianej miejscowości uczesza 22 uczniów.

Na ten moment weszła sąsiadka. — Teraz dobrze, że zimy jeszcze nie ma, ale jak zawieją to większe dzieci jakos przejdą, tylko co z mniejszymi... Henryk Brynda dodaje, że „bryczka” przejeżdża rano i o 13.00. Dzieci w Rygałówce się włącza zbierając stare strzykawki na śmieciisku, bo zaraz obok szkoły jest ośrodek zdrowia.

— Nie masz pan po co dalej ludzi pytać, wszytkie to samo powie. — Zygmunł Zukowski siedzi przy piecu na niskim stołku, srebrne włosy opadają mu na twarz.

W środku wsi, wyraźnie odcinając się od wiejskich chałup, stoi nowoczesny malowany na zielono budynek. Nad wejściem tablica z resztkami czerwonej i białej farby. Z wysiłkiem odczytuje zniszczony napis: Zbiorcza Szkoła Gminna w Lipsku nad Biebrzą. Szkoła Podstawowa w Rygałówce, Punkt Filialny w Rakowiczach. Obok zabity deską fragment okna Budynek jest zamknięty. Mieszkańca tu nauczycielka nie wjechała jeszcze z pracy. Razem z panem Jankiem obchodzą szkołę dookoła, ciekawie zaglądają przez okno. Na drzwiach tabliczki: klasa... walające się wszędzie płytki PCV, popękana gździejdzę tynk, ze ścian luszczą się farba. W klasach żaluzje zamknięte pod ścianę stoją łapki.

W otworach zielonych pulpitów dawno nie tkwiły kalamarze. Następne okno — zakurzone pomoce do nauki fizyki, w rogu stojaki do map. Na drugich drzwiach wisł wielki, pokryty natłosem tęcz kłódka. Nad wejściem także zarządził się dzwonek, którego dźwięk od lat nikogo nie zwoływał na lekcje. Kilka metrów dalej w budynku gospodarczym mieści się klub rolnika.

— Tam gdzie ten klub, to mój czynny budynek wybudowali na sale zajęć praktycznych. Cała szkoła pomagał stawiać — wozilo się kamienie, żwir, robili mi pustaki — wykopcy. Wiedzieliśmy się pracować. Tu ludzie pisali, żeby szkołę znowu otworzyć, przyjeżdżali z Lipska, ale nie wyszło — mówi pan Józef, ojciec rodziny. Siedzę w kuchni u Bryndal. Ojciec z synem przezwali pracę nad jakąś deską, odłożyli na bok siewiere.

— Dzieciom ciężko. Teraz są takie drobne, malutkie, a przez to dowołnie chorują.

— Choćby z cztery klasy zrobić — mówi na pożegnanie pani Tatiana. Opuszczamy Rakowice. Obok zamkniętej szkoły zatrzymała się właśnie znana „bonanza”. Z przyczepy wysypują się drobne postacie dzieci zjeżdżając w kierunku domów.

W suwalskim Kuratorium Oświaty i Wychowania starszy wzyrtator Marian Rutkowski stwierdza, że być może, po konsultacji z zainteresowanymi rodzicami od września w Rakowiczach powstanie szkoła. Warunek to zgromadzenie w jednym oddziale przynajmniej 7-8 uczniów. Byłaby wówczas możliwość uczenia dwóch roczników w systemie przemiennym. Reaktywowanie szkoły stoi więc pod wielkim znakiem zapytania. Czy los skażal budynek w Rakowiczach na powolną stoją łapki.

P.S. W suwalskim szkolnictwie podstawowym brakuje ponad 500 wykwalifikowanych nauczycieli. Dotyczy to z rezultaty szkół wiejskich. Luki lata się absolwentami I.O. Od nowego roku szkolnego nauczyciel na studiach decyduje się na pracę na wsi otrzyma dziesięcioprocentowy dodatek wiejski. Natomiast ci, którzy podjęli pracę na wsi od września ub.r. i zadeklarowali pozostanie na co najmniej 6 lat, mogą otrzymać kredyt bankowy w wysokości 100 tys. zł. Za półtora roku pierwszy absolwent opuścza mury, utworzonego we wrześniu 1982 r. w Olecku, Studium Nauczania Początkowego i Wychowania Przedszkolnego. Co roku kończyć je będzie 120-180 osób, które powinny podjąć pracę w szkołach województwa. Możliwe, że wówczas poprawi się sytuacja kadrowa w suwalskiej oświacie.

J. N.

Białystok rośnie i w szerz, lecz ciągle jeszcze jest miastem architektonicznych kontrastów — nawet w swym Centrum.

Rys.: HENRYK WILK



ANDRZEJ KOZIARA

